Chemia – Let Me (2015)

1 Fun Gun 2 She 3 The Luck (Featuring – Brent Fitz) 4 Let Me 5 I Love You So Much 6 Grey 7 The Shadow 8 Done 9 Don't Kill The Winner 10 We Toxic 11 Gott Love Me 12 Send Me The Ravens Wojciech Balczun, Maciej Mąka – guitar Adam Kram – drums Krzysiek Jaworski – bass Łukasz "Luke" Drapała - vocals

Od zachwytu, przez zwątpienie, do znudzenia. Tak opisałbym swoją drogę z płytą Let Me, która jest dość dziwnym tworem. Z jednej strony potrafi człowieka zauroczyć, aby następnie dać mu w twarz i powiedzieć „Sorry Winnetou – gdzieś mnie już słyszałeś”. A miało być tak pięknie…

Pierwszy odsłuch najnowszego albumu grupy Chemia naprawdę wypadł w moich uszach niezwykle obiecująco. Fakt – momentami wiało nudą, ale mimo wszystko na pierwszy rzut oka (czy bardziej ucha) wszystko wydawało się okej. E tam okej – po ostatnim numerze pomyślałem sobie „Wow! Ale petarda!”. Jednak wtedy nadciągnął ten drugi wilk, który dopomniał się o strawę. Oczywiście był to ten gorszy, który swym skowytem wypłoszył w mig tego dobrego. Zastanawiam się jednak, czemu tak właściwie wybrałem ostatecznie tego złego?

Odpowiedź jest prosta: nie lubię rzeczy, które już słyszałem. A takie uczucie przeszło mnie w trakcie rozbierania Let Me na części pierwsze. Wszystko ładnie i pięknie, ale jednak świeżość nie jest najmocniejszą stroną tej płyty. Skojarzenia co do konkretnych zespołów zachowam co prawda dla siebie, jednak powiem tylko, że brzmieniem kapela bardzo przypomina mi to, co działo się w zeszłej dekadzie i jeszcze trochę wcześniej. Żadnych nowych patentów, żadnych odkrywczych dźwięków, brak nowych efektów. Nic, co mogłoby wnieść cokolwiek na polski rynek. Ot – wielka neutralność.

Takie też odczucia towarzyszą mi w związku z wokalem, który jest bardzo płaski. Ba! On nie potrafi się momentami odpowiednio przebić przez gitary. I nie jest to kwestia produkcji, lecz bardziej odpowiedniego balansu tych składowych. Dodając do tego po raz kolejny wyraźne skojarzenia z twórczością innych oraz dość sztywny akcent angielski, nie otrzymujemy nic, co mogłoby nas zachwycić w majestatyczny sposób. A szkoda, bo być może niektóre z lepszych piosenek, poprzez wyrazisty wokal, mogłyby trochę zyskać na wartości.

Do tych bardziej pozytywnych akcentów krążka zaliczyć trzeba single. Nie są to może mistrzowskie produkcje, jednak na tle pozostałych wybijają się dosyć znacząco. Rozpoczynające płytę Fun Gun jest jej dobrym zwiastunem, ale tylko do pewnego czasu, bo to, co się dzieje w refrenie, woła o pomstę do nieba. Takiego chaosu rytmicznego nie znoszę! Co prawda lubię zmianę tempa między fragmentami piosenki, ale w tym przypadku nie jest to tylko zmiana, a (kuchenna) rewolucja. Tempo ze zwrotki i pre-refrenu jest naprawdę super i aż prosi się, żeby je złamać w refrenie, ale nie w taki sposób. Cóż…

Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi refren w She. Tutaj wyszło to naprawdę świetnie, bo zarówno prędkość piosenki, jak i chwytliwy refren się zgadzają, ale jest jedno ale: nie zgadza się… zwrotka. Co prawda tragedii nie ma, jednak bębny są dość mało czytelne i „ni w gruchę, ni w pietruchę”. Tak czy inaczej nie zmienia to faktu, że oba te single dosyć słabo reprezentując całą płytę, bowiem potem jest już tylko gorzej. Z każdym kolejnym numerem człowiek czuje się, jakby toczył się z równi pochyłej. A chyba nie o to chłopakom chodziło. Na koniec kilka ogólnych słów refleksji. Głównym atutem tego krążka jest genialna produkcja. Muszę też przyznać, że sam pomysł dobrej i mocnej płyty nie był najgorszy. Mało mamy w ostatnim czasie dobrego, polskiego rocka w nieco mocniejszym wydaniu. Szkoda tylko, że primo: ten rock jest mocno stylizowany na wzór zachodni, a secundo: 100% albumu nagrane jest w języku angielskim. Wiem, że mogłoby to pomóc w przebiciu się na światowy rynek muzyczny, ale na początek proponuję jednak na dobre zagościć w polskich odtwarzaczach. Bo nie sądzę, że wiele osób ma w swojej playliście Chemię i słucha jej na co dzień.---Michał Szum, allaboutmusic.pl

American sounding Polish hard rockers go for polished on album number two

Chemia are Polish. Forgive us for stating the obvious (and we’ve already written that fact in the sub heading) but it’s worth repeating. You’d never know from listening to “Let Me.” Instead you’d

swear on whatever you consider to be holy that they were American.

Right from the kick off here, the single “Fun Gun” there’s a U.S. sheen to this record. It’s everywhere, on the hook for “She” on the hair down, horns up opening riff of the Nickelback sounding “The Luck” and on the meaty stomp of “Grey.”

If this was the late 1980s we’d be talking about the record being an AOR classic, and actually Chemia would already be huge. These songs would be on every radio station that ever made Bon Jovi famous and the videos would be all over Headbangers Ball. In the UK a young MVM would have watched them on Raw Power on ITV and bought the record on import at Tempest Records in Birmingham.

The point is this: the world has changed. Whether that’s good or bad is another debate for another day, but is this changed world ready for a record that sounds like this?

The answer is probably yes, for the simple reason that quality always finds a way and make no mistake, in every sense of the word “Let Me” is a quality record.

One with huge choruses – “The Shadow” wants to bother stadiums, never mind arenas – and “Don’t Kill The Winner” is clearly designed to get fists in the air. It also proves that “Chemia” are better when their heads are down and their feet are on the monitor.

They can write a big old epic ballad too, “We Toxic” is a mighty fine song, which soars away looking for the nearest horizon, and just occasionally when they feel like it, they can do the dark Pearl Jam thing too. The title track is pure Eddie Vedder, and grunge isn’t meant to sound this good in 2015. Likewise the closing track here “Send Me A Raven” fleshes out those fantasies just a little further.

“Let Me” is a fine album and it might just allow Chemia to get where they want to go. One step at a time, perhaps, because if we may paraphrase Ian Hunter, it’s a mighty long way down rock n roll from Warsaw to The Hollywood Bowl.

Still it’s good to dream. And this record proves the dream is alive. ---Andy Thorley, maximumvolumemusic.com

download (mp3 @320 kbs):

yandex mediafire uloz.to gett

back